

Poul Anderson

Koniec poszukiwań

Rugona zbudziło słońce.

Drgnął niespokojnie, gdy poczuł długie snopy światła padające ukośnie na ziemię. Stłumione wiecowanie ptaków przeobraziło się w kaskadę dźwięku, a z podmuchów słabego wiatru doleciały go zagadywania liści. Wstawaj, Rugo, wstawaj, wstawaj, nowy dzień ożywia wzgórze, więc szkoda spać i wylegiwać się. Wstawaj.

Pod powieki wdarło się światło i zmaćiło ciemność snów. Mruczając Rugo zwinął się w kłębek jeszcze mocniej, szczelnie otulił się snem niby peleryną, zapadł w ciemność i niebyt, mając przed oczyma twarz matki.

Jej śmiech niósł się po długich szlakach nocy, wołając go, przyzywając, więc próbował iść za nią, lecz w tym przeszkadzało mu słońce.

– Mamo – załkał – mamu, proszę cię, wróć, mamu.

Kiedyś, bardzo dawno temu, matka odeszła i zostawiła go. Rugo był wtedy mały, natomiast jaskinia duża, ponura i zimna; z każdego kąta coś wyglądało, coś tam szurało, a jego ogarniał strach. Matka powiedziała, że idzie po jedzenie, ucałowała go i zeszła ku urwistej dolinie tonącej w księżycowej poświacie. W dole pewnie natknęła się na Obcych, nigdy bowiem już nie wróciła. Nie powróciła, chociaż Rugo długo płakał i wołał jej imię.

Było to już tak dawno temu, że Rugo nie potrafił zliczyć lat. Jednak teraz, kiedy się zestarzał, matka chyba sobie o nim przypomniała i żałuje, że odeszła, bo ostatnio często przychodzi w nocy.

Rosa wyziębiała mu skórę i Rugo poczuł w całym ciele odrętwienie, ból mięśni i kości oraz otepienie nerwów, więc zmusił się, by wstać. Jeżeli wykona jeden gwałtowny ruch i przeciągnie się tak, by nie wyć z bólu, to może zdoła pozbyć się wilgoci, zimna, ziemi; będzie mógł otworzyć oczy i spojrzeć na nowy dzień.

Zanosilo się na upał. Rugonowi wzrok już nie dopisywał, więc słońce, nisko nad niewyraźnym horyzontem, jawiło mu się tylko jako ognisty blask, który poprzez zasłonę mgły snującej się w dolinach nabrał rdzawej barwy. Wiadomo było jednak, że zrobi się gorąco jeszcze przed nadejściem południa.

Rugo uniósł się powoli, opierając się na wszystkich czterech łapach; potem uchwycił się niskiej gałęzi i stanął wyprostowany. Głód dawał o sobie znać tęym bólem. Rugo powiódł osowiałym wzrokiem po zaroślach, po karłowatych drzewach zagajnika porastających wzgórze do połowy. Te krzaki i drzewa tworzyły soczystą letnią zieleń, która nieco później upodobni się do metalu. Pod stopami szeleściły opadłe liście, wciąż wilgotne od rosy przechodzącej w białe opary. Ptaki świergotały aż pod samo słońce, ale nigdzie nie było żywności, nigdzie nic do jedzenia.

– Mamo, powiedziałaś, że przyniesiesz coś do zjedzenia. Odpędzając resztki snów Rugo potrząsnął wielką, pokrytą łuskami głową. Dziś będzie musiał zejść do doliny. Zjadł już ostatnie

jagody na wzgórzu i czeka tu od tak wielu dni, że osłabienie rozpełzło się z brzucha na całe ciało; teraz więc będzie musiał zejść do Obcych.

Powoli wyszedł z zarośli i ruszył zboczem w dół. Pod jego stopami chrzęściła trawa, ziemia zaś drżała pod całym olbrzymim ciężarem jego cielska. Wzgórze ukosem wznosiło się ku niebu i opadało ku zamglonym dolinom, a on był sam na sam z porankiem.

Tutaj rosła jedynie trawa i drobne kwiaty. Dawnymi czasy wzgórze były wysoko porośnięte lasem; Rugo pamiętał chłodne, cieniste głębie i korony drzew szumiące w podmuchach wiatru, a także plamy słońca rozsiane na ziemi; latem rozlewał się tu upajający, słodki aromat żywicy, a zimą oślepiający blask światła załamującego się w miliardach śniegowych kryształów. Obcy jednak wyrąbali las i teraz zostały po nim jedynie próchniejące pnie oraz niewyraźne wspomnienia Rugona. Wyłącznie jego, ponieważ ludzie, którzy zwalili las, wymarli, a ich synowie wcale go nie znali, więc gdy zabraknie Rugona, kto pomyśli o tym choćby jeden raz? Czy zostanie ktoś, kto się o to zatroszczy?

Rugo doszedł do potoku toczącego się po zboczu, wypływającego ze źródła położonego wyżej i dążącego do połączenia się z Rzeką Grzmotów. Woda była zimna i czysta, więc Rugo napił się chciwie, czerpiąc z obu rąk i merdając ogonem z ukontentowania. Pozostało mu przynajmniej tyle, chociaż obecnie, po zniszczeniu działu wodnego, źródło mocno się skurczyło. Jest to jednak bez większego znaczenia, bo nim potok wyschnie, jego już nie stanie.

Przeszedł w bród na drugą stronę, a zimna woda wywołała mrowienie i klucie w chorej nodze. Dalej za potokiem odszukał dawny szlak wyrębu i poszedł tą drogą. Odwlekając to, co nieuniknione, posuwał się wolno i próbował obmyślić jakiś plan.

Obcy dawali mu niekiedy jedzenie z litości lub w zamian za pracę. Kiedyś przez prawie cały rok pracował dla człowieka, który dał mu legowisko oraz jedzenia do syta; był to mężczyzna o cichym głosie i łagodnych oczach, dla którego dobrze się pracowało, bo nie miał w sobie pośpiechu, wrodzonego chyba całej jego rasie. Potem jednak mężczyzna ten przyprowadził kobietę, ona zaś bała się Rugona, więc musiał odejść.

Kilka też razy przychodzili do niego ludzie bezpośrednio z Ziemi, na rozmowy. Zasytywali go pytaniami dotyczącymi jego współbraci. Jak żyli, jakim słowem określali to albo owo, czy pamięta jakieś tańce lub muzykę. Rugo nie mógł im wiele powiedzieć, ponieważ jego lud tępiono już wtedy, gdy on przyszedł na świat, i sam na własne oczy widział, jak lecąca broń przeszła jego ojca na wylot, a potem matka wyszła po żywność i nie wróciła. Szczerze mówiąc, to ludzie z Ziemi powiedzieli mu więcej, niż on sam umiał im przekazać; opowiadali o miastach, książkach i bogach, jakich kiedyś posiadało jego plemię, a gdyby tylko pragnął dowiadywać się o tych sprawach od Obcych, powiedzieliby mu znacznie więcej. Także i ci ludzie płacili mu co nieco, więc przez jakiś czas żywił się dobrze.

Jestem teraz stary i niezbyt silny, myślał Rugo. Nigdy nie byłem krzepki w porównaniu

z siłą, jaką oni mają. Jeden z nas mógł gnać przed sobą pięćdziesięciu takich jak oni, ale jeden z nich, usadowiony przy kierownicy czegoś zrobionego z metalu i ognia, mógł skosić tysiąc naszych. Ja zaś wywołuję strach u ich kobiet, dzieci i zwierząt. Trudno więc będzie znaleźć pracę i może przyjdzie mi żebrać o trochę chleba za to jedynie, żeby się oddalić. A przecież ziarno, którym mnie nakarmią, wyrosło z gleby tego świata; moc swą czerpało z kości mego ojca, a jędrność z ciała mej matki. Ale jeść trzeba.

Gdy Rugo doszedł do doliny, od razu poczuł żar słońca, po mgłach zaś zostały jedynie poszarpane smugi. Ścieżka dotarła do drogi, więc Rugo skręcił na pomoc ku ludzkim osadom. Jak okiem sięgnąć, nikogo jeszcze nie było widać i panowała cisza. Kroki Rugona odbijały się głośnym echem na chodniku tak twardym, że każde stąpienie wywoływało w nogach ból, szarpiący jakby ostrymi szpilkami. Rozejrzał się naokoło, usiłując zapomnieć o bólu.

Obcy tak zaciekle wycinali drzewa, orali grunt i zasiewali ziarno z Ziemi, że teraz dolina leżała pod otwartym niebem. Miedziane słońce lata i przeraźliwe wichury zimy szalały nad głębokimi, wąskimi dolinami, jakie pamiętał, a jedyne drzewa rosły w schludnych sadach i rodziły nietutejsze owoce. Wyglądało to tak, jakby Obcy bali się ciemności, jakby tyle strachu napędzały im cienie, półświatła i szumiące, niewidoczne dale, że musieli wszystko zniszczyć jednym przewaleniem się pożogi i pioruna, po czym zapanowała połyskliwa, nieugięta stal ich świata, górująca nad równinami pokrytymi kurzem.

Jedynie strach mógł zrodzić takie okrucieństwo i tak samo strach doprowadził przodków Rugona, ogromnych, łuskowatych, czarnych, do tego, że wypadli z gór, by rozwałać domy, palić uprawne pola i niszczyć maszyny. Ten sam strach wywołał odwet Obcych, czego skutkiem były stosy cuchnących ciał w rozsypujących się ruinach miast, których Rugo nigdy nie oglądał. Tyle tylko, że Obcy byli potężniejsi i ich strach zwyciężył.

Rugo usłyszał, że z tyłu, rycząc i łomocząc na drodze, nadjeżdża jakaś maszyna z wizgiem rozpruhanego powietrza, trzepoczącego w ślad za nią. Nagle zabrakło mu tchu, bo przypomniał sobie, że chodzenie środkiem jezdni jest zabronione. Wgramolił się na pobocze, ale była to niewłaściwa strona jezdni, akurat ta, którą jeżdżono, więc ciężarówka z piskiem dymiących opon zatoczyła się wokół Rugona i zatrzymała na krawędzi drogi.

Wysiadł Obcy, który aż się zataczał z wściekłości. Stek jego przekleństw płynął tak wartko, że Rugo nie wszystko rozumiał. Wyłowił kilka słów: – Cholerny dziwoląg... Mógł mnie zabić... Zastrzelić by takiego... Do sądu z takim...

Rugo stał i patrzył. Dwukrotnie przewyższał tego różowego chudzielca, podrygującego przed nim i złorzeczącego, ciało zaś miał czterokrotnie większe; a choć był już stary, jedno machnięcie ręką wgniotłoby czaszkę Obcego i rozbryzgało mózg na przegrzany, twardy beton. Tylko że za tym stworem stała cała potęga Obcych, pożoga, ruina i latająca stal, a on jest przecież ostatnim ze swego ludu i niekiedy matka przychodzi w nocy, aby się z nim zobaczyć.

Toteż stał spokojnie, łudząc się, że człowiek zmęczy się i odjedzie.

Nagle poczuł, jak obuta stopa wyrznęła go w goleń, więc krzyknął z bólu i podniósł jedno ramię, tak jak to robił w dzieciństwie, kiedy wokół niego leciały bomby i spadał grad metalu.

Człowiek odskoczył.

– Ani mi się waż, ty! – rzucił szybko. – Tylko bez sztuczek. Tknij mnie tylko, a zaraz cię capną.

– Odejdź – rzekł Rugo, łamiąc sobie język i męcząc krtań na obcych sylabach, które znał lepiej niż niejasno pamiętany język własnego ludu. – Odejdź, proszę.

– Jesteś tu tylko tak długo, jak się będziesz dobrze sprawować. Ty se nie pozwalaj, no. Cholerne paskudztwo. Pilnuj się.

Człowiek wsiadł do ciężarówki i ruszył, a na Rugona posypał się grad żwiru spod pędzących kół.

Rugo bezradnie opuścił ramiona i stał wpatrzony w maszynę, aż odjechała poza zasięg jego starzejącego się wzroku. Gdy znów podjął wędrówkę, pilnował się, by zostać na prawidłowym skraju szosy.

Niebawem zza wzgórza wyłoniło się gospodarstwo, odsunięte nieco od szosy. Był to schludny biały dom usadowiony sztywno wśród drzew; za nim stłoczyły się budynki gospodarcze, a jeszcze dalej ciągnęły się rozległe, żółknące pola uprawne. Słońce stało teraz wysoko na niebie, mgła i rosa wyparowały, wiatr się uspokoił. Było cicho i gorąco. Szosa była tak twarda, że Rugo czuł w stopach rwący ból.

Stanął przed furtką namyślając się, czy ma wchodzić. Było to zamożne miejsce, więc mają tu maszyny, czyli nic im po jego pracy.

Kiedy poprzednim razem tędy przechodził, gospodarz ostro pognał go dalej. Może jednak odżałują kawałek chleba i dzban wody, choćby po to tylko, żeby się go pozbyć lub może utrzymać przy życiu. Wiedział, że jako ostatni tubylec jest w okolicy jedną z osobliwości. Przyjezdni często wspinali się na jego wzgórze, aby go zobaczyć, rzucali mu pod nogi kilka miedziaków, a kiedy zbierał, robili zdjęcia.

Rugo przesyłabizował nazwisko na skrzynce pocztowej. „Elias Whately”. Spróbuje szczęścia u Eliasa Whately’ego.

Ledwo zdążył wejść na podjazd, już wyskoczył pies i zaczął ujadać tak przeraźliwie, że aż świdrowało w uszach. Bestia doskakiwała ze wszystkich stron, kłapała zębami z wściekłością podszytą strachem. Żadne zwierzę z Ziemi nie mogło ścierpieć widoku i zapachu Rugona; wszystkie czuły, że on nie należy do ich świata, i wywoływał u nich pierwotny strach. On zaś miał jeszcze w pamięci ból, jaki zadają kły wpijające się w zreumatyzowane nogi. Kiedyś zabił psa, który go ugryzł, odruchowo machnąwszy ogonem; właściciel psa wypalił do niego wtedy z dubeltówki. Większość śrucin odbiła się od łusek, ale niektóre wciąż jeszcze głęboko tkwiły

w ciele i gdy było zimno, dawały się we znaki.

– Proszę – zwrócił się do psa.

Jego bas zadudnił w rozgrzanym, martwym powietrzu, a pies zaczął ujadać jeszcze zacieklej.

– Proszę, ja nie skrzywdzę, nie gryź, proszę.

– O-och!

Kobieta stojąca na podwórzu narobiła wrzasku i uciekając przed Rugonem po schodach wpadła za drzwi, które zatrzasnęła mu przed nosem. Rugo westchnął i nagle poczuł się zmęczony. Kobieta bała się. Oni wszyscy się boją. Jego ludowi dali miano trolli, co w ich starych baśniach są uosobieniem zła. Rugo pamiętał, że jego dziad, tuż przed śmiercią w czasie bezdomnej zimy, nazwał ludzi torrogami, które według niego były bladymi, kościstymi stworami żywiącymi się trupami, więc Rugo uśmiechnął się krzywo i poczuł gorycz na ustach.

Tu nie ma czego szukać. Odwrócił się, aby odejść.

– Ty!

Obrócił się i stanął oko w oko z człowiekiem przy drzwiach. Mężczyzna trzymał strzelbę i miał pociągłą, mocno zaciętą twarz. Zza niego wyglądał rudowłosy chłopak, może trzynastoletni szczeniak o oczach tak samo wąskich jak u ojca.

– A ty czego tu przychodzisz? – mężczyzna odezwał się głodem przypominającym zgrzyt żelaza.

– Jestem głodny, proszę pana – odrzekł Rugo. – Myślałem, że mógłbym trochę popracować, albo że ma pan jakieś resztki...

– Tym razem zebranie, he? – rzucił Whately. – Nie wiesz, że to niezgodne z prawem? Można by cię wsadzić do więzienia. Jak mi Bóg miły, tam twoje miejsce. Zakała społeczna, oto, czym jesteś.

– Ja tylko szukałem pracy – rzekł Rugo.

– Więc przyłazisz i straszysz moją żonę? Wiesz, że tu nie ma nic dla takiego dzikusia jak ty. Umiesz prowadzić traktor? Potrafisz naprawić prądnicę? Czy przynajmniej umiesz jeść bez chlapania na wszystkie strony? – Whately splunął. – Jesteś przybłądą na cudzym gruncie i dobrze o tym wiesz. Gdybym to ja był tam właścicielem, wyleciałbyś na zbity pysk tak szybko, że ani byś się nie obejrzał.

Ciesz się, że żyjesz! Kiedy pomyślę o tym, co czterdzieści lat temu zrobiły te mordercze, ośliżłe bestie... Przez czterdzieści lat ludzie stłoczeni w cuchnących statkach kosmicznych zrywali więzy z Ziemią i całą rasą ludzką, umierali nie widząc lądu, przebojem zdobywali każdy metr lat świetlnych po to, by dotrzeć do Tau Ceti, a wtedy wy oświadczyliście, że Ziemianie nie mogą tu zostać. Potem przyszliście i spaliliście im domy, wymordowaliście kobiety i dzieci! Dobrze, że planetę od was uwolniono, od tych wszystkich mętów, i aż dziw bierze, że nikt nie weźmie broni i nie sprzątnie ostatniego śmiecia!

Podniósł nieco strzelbę.

Rugo pomyślał, że nie ma sensu tłumaczyć. Może istotnie, jak utrzymywał dziadek, zaszło kiedyś nieporozumienie, może rada starszych Sądziła, że pierwsi badacze pytają jedynie o to, czy im podobni mogą przyjechać, i kiedy dawano zezwolenie, nie spodziewano się osadników – a może też, przeczuwając, że Obcy będą zbyt silni, postanowiono złamać słowo i walczyć o zachowanie własnej planety.

A teraz, co ma sens? Obcy wygrali wojnę karabinami, bombami i wirusem zarazy, która skosiła tubylców; znalazło się kilku odpornych, ale tych wytropiono niby zwierzęta i teraz on jeden został na całym świecie, więc jest zbyt późno na wyjaśnienia.

– Bierz go, Shep – wrzasnął chłopiec. – Bierz go! Huzia na niego!

Pies zaszczekał nieco bliżej, podbiegł i wycofał się, czekając, aż tchórzostwo przerodzi się we wściekłość.

– Zamknij się. Sam – warknął Whately najpierw do syna, a potem do Rugona: – Wynocha!

– Odejdę – rzekł Rugo.

Usiłował opanować drżenie, które nim wstrząsnęło, ów szarpiący nerwy strach przed tym, co może wypluć strzelba. Pomyślał z goryczą, że nie boi się umierać, że gdy nadejdzie ciemność, przyjmie ją z ulgą, ale życie było w nim zakorzenione tak głęboko, że nawet gdy kule podziurawią go jak sito, on jeszcze żyć będzie długo, długo. Konanie trwać może godzinami.

– Pójdę dalej, panie – powiedział.

– Nie, nie pójdiesz – warknął Whately. – Nie dam ci zejść do wioski, żebyś tam straszyl małe dzieci. Marsz z powrotem tam, skąd przyszedłeś.

– Ależ, panie, proszę...

– Jazda!

Broń mierzyła w niego; Rugo spojrział w głąb lufy, odwrócił się i wyszedł przez furtkę. Whately machnął ręką w lewo, na drogę powrotną.

Pies przypuścił atak i zatopił kły w kostce, tam gdzie odpadły już łuski. Rugo zawył z bólu i rzucił się do ucieczki, powoli i niezdarnie, zataczając się po drodze. Mały Sam Whately roześmiał się i ruszył za nim.

– A kysz, trollu, szpetny i stary, włącz z powrotem do pieczary!

Niebawem z sąsiednich gospodarstw wypadła gromada dzieci, z tą odwieczną mieszaniną bieraniny, zadyszanych płuc, walącego serca i wyjącego, dudniącego wrzasku. Psy ujadły, dzieci ścigały Rugona i rzucały kamienie, które spadały z łoskotem, ale gdzie uderzyły, ciężły niby miecze.

– A kysz, trollu, szpetny i stary, włącz z powrotem do pieczary!

– Proszę – wyszeptał Rugo. – Proszę...

Kiedy dobiegł do starego szlaku, właściwie nic już nie widział. Droga wirowała

w oślepiającym migotaniu żaru i kurzu, świat naokoło chwiał się i obracał, a huk w uszach przytłumił wycie dzieciarni. Dzieci podrygiwały wokół Rugona pewne swej bezkarności, świadome bólu, słabości i osamotnienia, które jemu ścisnęły gardło, psy zaś skowyczały, rzucały się na niego i wpijały kły w ogon oraz nabrzmięte nogi.

Wkrótce Rugo nie mógł już iść dalej. Wzgórze było zbyt strome i wyczerpała się cała siła woli wprawiająca mięśnie w ruch. Usiadł więc, podkurczył nogi i ogon, głowę schował w ramiona i w skwarnej, ryczącej, wirującej ciemności stracił świadomość tego, że dzieci obrzucają go kamieniami, okładają pięściami i wydzierają się nad nim.

Noc, deszcz i zachodni wiatr zawodzący w wysokich drzewach, chłodna, wilgotna puszystość trawy i migocące niewielkie ognisko, poważne oczy ojca i umiłowana, utracona twarz matki... Spoza zasłony nocy i wiatru z deszczem oraz lasu, który wyrąbano, spoza lat i zacierających się wspomnień oraz cienie krainy snów, przyjdź do mnie, mammo, przyjdź do mnie, weź mnie w ramiona i zanieś do domu.

Po jakimś czasie dzieciom znudziło się i odeszły, jedne z powrotem, inne wyżej w góry, na poszukiwanie jagód. Rugo siedział nieporuszony, zatopiony w sobie, powoli odzyskując siły i świadomość bólu. Był rozgorączkowany i rozdygotany, kolczaste szpile bólu szarpały mu nerwy, gardło wyschło mu tak, że nie mógł przełknąć, a głód jak dzikie zwierzę grasował mu w głębi brzucha.

Upłynęło jeszcze sporo czasu, nim otworzył oczy. Powieki miał jak otwarte rany pełne piasku, wszystko, co widział, chwiało się tak, jakby migotanie żaru wdarło się do mózgu. Przed nim stał jakiś człowiek i przyglądał mu się.

Rugo skulił się zasłaniając twarz ręką. Mężczyzna stał jednak spokojnie, pykając ze sfatygowanej, starej fajki. Był nędznie ubrany, a na plecach miał zwinięty tłumok.

– Nieźle ci się dostało, co, stary? – zagadnął. Głos miał łagodny.

– Masz! – Pochylił swe wymizerowane ciało nad przycupniętym Rugonem. – Masz, parę łyków dobrze ci zrobi.

Rugo podniósł menażkę do ust i wypił do dna. Człowiek obejrzał go ze wszystkich stron.

– Nie jesteś zbyt mocno poturbowany – stwierdził. – Tylko zadrapania i otarcia skóry; wy, trolle, zawsze byliście twardą rasą. Dam ci jednak trochę aneuryny.

Wyciągnął z kieszeni tubkę żółtej maści i posmarował nią rany. Ból zelżał, przeszedł w ciepłe mrowienie i Rugo westchnął.

– Jest pan bardzo dobry, proszę pana – rzekł niepewnie.

– E, tam. I tak chciałem cię poznać. Jak się teraz czujesz? Lepiej?

Rugo powoli skinął głową usiłując opanować dreszcze, które wciąż nim wstrząsały.

– Czuję się dobrze, szanowny panie – odparł.

– Nie mów do mnie „szanowny panie”. Słyszac coś takiego niejeden by się uśmieł do łez. Co

się właściwie zdarzyło?

– Ja... ja chciałem jeść, szanowny panie... przepraszam. Ja ch-chciałem jeść. Lecz oni... on... kazał mi wracać. Potem nadbiegły psy, a za nimi dzieci.

– Czasami dzieciaki potrafią być okrutnymi bestiami, to fakt. Czy możesz iść, stary? Chcę poszukać cienia.

Rugo podźwignął się na nogi, nie myślał, że pójdzie mu tak łatwo.

– Proszę, jeśli pan pozwoli, ja znam zadrzewione miejsce... Mężczyzna zaklął, cicho i siarczyście.

– To już do tego doszło. Nie dość im było, że zniszczyli całą rasę; musieli jeszcze stłamsić ostatniego, który został. Słuchaj no ty, jestem Manuel Jones i będziesz rozmawiał ze mną jak jeden wolny wyrzutek z drugim albo wcale. A teraz poszukajmy tych twoich drzew.

Wspinając się dróżką prawie się do siebie nie odzywali, ale mężczyzna gwizdał pod nosem rubaszną piosenkę. Przeszli przez strumień, dotarli do zarośli i kiedy Rugo leżał w cieniu nakrapianym słońcem, poczuł się jak nowo narodzony. Westchnął, rozluźnił całe ciało, wtapiając się w ziemię i czerpiąc z niej dawną moc.

Człowiek rozniecił ognisko, otworzył kilka puszek wyjętych z węzła i wrzucił zawartość do kociołka. Rugo obserwował go wygłodniałym wzrokiem, z nadzieją, że też trochę dostanie, ale jednocześnie ogarnięty wstydem i złością na samego siebie za to, że tak mu burczy w brzuchu. Manuel Jones przykucnął pod drzewem, zsunął kapelusz z czoła i znów zapalił fajkę.

Niebieskie oczy w ogorzalej twarzy spoglądały na Rugona bez mrugnięcia, bez nienawiści czy strachu.

– Nie mogłem doczekać się spotkania z tobą – rzekł Manuel. – Chciałem poznać ostatniego przedstawiciela rasy, która potrafiła wznieść Świątynię Otheii.

– Co to takiego? – spytał Rugo.

– Nie wiesz?

– Nie, proszę pana, to znaczy, wybacz pan, nie, panie Jones.

– Manuel. I żebyś mi o tym pamiętał.

– Nie wiem, bo urodziłem się, kiedy Obcy dobijali ostatnich z nas... Manuelu. Stale uciekaliśmy. Miałem zaledwie kilka lat, kiedy zabito moją matkę. A w wieku niespełna dwudziestu spotkałem innego z ostatnich Gunnurów – z mojego plemienia. Było to niemal dwieście lat temu i od tego czasu jestem ostatni.

– Boże – szepnął Manuel. – Boże, ale z nas nieokiełznany diabelski pomiot!

– Byliście silniejsi – ciągnął Rugo. – A zresztą to już tak dawno temu. Ci, co to zrobili, wymarli. Niektórzy ludzie byli dla mnie dobrzy. Jeden z nich ocalił mi życie; wymusił na drugich, aby pozwolili mi żyć. Kilku innych było dla mnie łaskawych.

– Osobliwy rodzaj łaskawości, można powiedzieć – Manuel wzruszył ramionami. – Ale

masz rację, Rugonie, jest już za późno. Głęboko zaciągnął się fajką.

– A jednak posiadaliście wspaniałą cywilizację. Nie była ukierunkowana technicznie, tak jak nasza, nie była ludzka ani też w pełni dla ludzi zrozumiała, ale miała swą wielkość. Och, ta masakra wam zgotowana to koszmarna zbrodnia i kiedyś przyjdzie nam za nią zapłacić.

– Jestem stary – stwierdził Rugo. – Jestem za stary, żeby nienawidzić.

– Lecz nie za stary, by czuć samotność, co? Manuel uśmiechnął się krzywo. Pogрузzył się w milczeniu i tylko wydmuchiwał sine obłoczki dymu w oślepiający blask powietrza. Niebawem, wciąż głęboko zamyślony, podjął rozmowę.

– Niewątpliwie można zrozumieć ludzi. Byli to biedacy, wydziedziczeni z naszej przeludnionej Ziemi. Przepelnieni nadzieją podróżowali przez czterdzieści lat w pustce Kosmosu, składając swoje życie w ofierze rakietom po to, żeby ich dzieci mogły wylądować – a wtedy wasza starszyzna im tego zabroniła. Powrotu nie mieli, a w krańcowej sytuacji człowiek nigdy nie zastanawiał się nad sposobem działania. Oni byli osamotnieni i przerażeni, a wasz straszny, zwalisty wygląd pogarszał sytuację. Rzucili się więc do walki. Nie powinni byli jednak robić tego tak bezwzględnie. Przecież zgotowali wam istne piekło.

– Nieważne – rzekł Rugo. – To było dawno temu. Czekaając na posiłek siedzieli chwilę bez słów i kulili się w cieniu przed białym płomieniem słonecznego blasku.

– No – Manuel z ulgą sięgnął po naczynia – za dobre to to nie jest, fasola i coś tam jeszcze, no i nie mam drugiego talerza. Mógłbyś sięgać prosto z kociołka?

– Ja... ja... to nie jest konieczne – wymamrotał Rugo, nagle znowu onieśmielony.

– Diabła tam, niekonieczne. Częstuj się, stary, jest dość dla nas obu. Rugo nozdrzami wciągnął zapach jedzenia, poczuł zbierającą się w ustach ślinę i żołądek upominający się o swe prawa. A Obcy chyba naprawdę mówił poważnie, więc Rugo powoli zanurzył ręce w naczyniu, wyciągnął pełne garście i pożywił się niezdarnym sposobem swego ludu.

Potem się położyli, wyciągając ciała z westchnieniem ulgi, poddając się podmuchom słabego wiatru. Dla kogoś o posturze Rugona posiłek nie był obfity; opróżnił wszakże kociołek i nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się najadł.

– Chyba ten posiłek pochłonął wszystkie twoje zapasy – odezwał się niezręcznie.

– Nieważne – Manuel ziewnął. – I tak miałem już potąd fasoli. Chciałem dziś wieczorem buchnąć kurczaka.

– Nie jesteś z tych stron – stwierdził Rugo. Coś w nim stajało. Oto ktoś, kto nie spodziewa się niczego poza przyjaźnią. Można sobie leżeć koło niego w cieniu, spoglądać na pojedynczy strzęp obłoka, który sunie po rozżarzoną, błękitnym niebie, można rozluźnić wszystkie mięśnie i nerwy. Obaj czuli wypełniony żołądek, rozwalili się na trawie, wymieniali błahe uwagi; było to właściwie wszystko, ale tyle im starczyło.

– Nie jesteś zwykłym włóczęgą – rzekł Rugo z namysłem.

– Może i nie – odparł Manuel. – Przed wielu laty uczyłem w szkole w Cetusport. Tam wpakowałem się w drobne tarapaty, więc musiałem ruszyć na włóczęgę i tak mi się to spodobało, że od tego czasu nigdzie nie zagrzałem miejsca. Byłem robotnikiem sezonowym, myśliwym, wędrowcem wszędzie tam, gdzie było ciekawie – ten świat jest duży i wystarczy go na całe życie. Rugonie, ja chcę poznać tę planetę. Nową Ziemię. Nie żebym miał zamiar napisać książkę czy coś równie bzdurnego. Po prostu chcę ją poznać.

Wsparł się na łokciu.

– Dlatego przyszedłem spotkać się z tobą – ciągnął. – Jesteś częścią starego świata, ostatnią, jeśli nie liczyć pustych ruin i kilku podartych stronic w muzeach. Coś mi jednak mówi, że duch waszej rasy zawsze będzie nas nawiedzać i niezależnie od tego, jak długo człowiek tu zostanie, coś z was weń przeniknie.

Jego chuda twarz przybrała na wpół mistyczny wyraz. W tej chwili Manuel nie był zakurzonym włóczęgą, ale czymś więcej, czego Rugo nie umiał określić.

– Przed naszym przybyciem planeta należała do was – mówił Manuel – ona ukształtowała was, a wy ją; teraz wasze tereny staną się częścią nas i na swe własne niespieszne, subtelne sposoby nas odmienia. Sądzę, że na Nowej Ziemi, pośród ogromnych wzgórz, gdzie w koronach drzew słychać szepty nocy, otóż tam właśnie biwakujący samotnie człowiek zawsze będzie oddawał się wspomnieniom. Zawsze tuż za ogniskiem będzie jakiś cień, jakiś głos w wietrze i rzekach, a w glebie coś, co przeniknie do chleba, który człowiek zje, i do wody, którą wypije. Tym czymś będzie umarła rasa, która była twoją.

– Może to i nastąpi – wtrącił Rugo bez przekonania. – Jednakże my wszyscy już wyginęliśmy i nie pozostało nic z tego, co do nas należało.

– Nadejdzie taki dzień – rzekł Manuel – kiedy twoje osamotnienie stanie się udziałem ostatniego człowieka. Także i my nie będziemy trwać wiecznie. Prędzej czy później dopadną nas lata, wrogowie, nasza własna głupota lub ciemności ogarniające wszechświat. Mam nadzieję, że ostatni człowiek zdoła udźwignąć brzemię życia tak dzielnie jak ty.

– Nie byłem odważny – rzekł Rugo. – Często się bałem. Czasami mnie bito i wtedy uciekałem.

– Byłeś mężny w sposób, który się liczy – stwierdził Manuel. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym mężczyzna wstał.

– Muszę już iść, Rugonie – powiedział. – Jeżeli mam tu zostać przez pewien czas, to muszę iść do wioski w poszukiwaniu jakiejś pracy. Czy jutro mogę znowu cię odwiedzić?

Rugo wstał razem z Manuelem i nagość swą okrył godnością gospodarza.

– Będę zaszczycony – rzekł z całą powagą.

Stał patrząc w ślad za człowiekiem, aż ten zginął mu z oczu za zakrętem szlaku. Potem westchnął cicho. Tak, Manuel jest dobry, to od stu lat pierwszy człowiek, który ani go nie

nienawidzi, ani się nie obawia; nie jest też zanadto ugrzeczniony czy skruszony, ale po prostu pogadał sobie z nim jak jedna wolna istota z drugą.

Jakie były jego słowa? „Jak jeden wolny wyrzutek z drugim?”. Tak, Manuel jest dobrym wyrzutkiem.

Rugo był pewien, że następnego dnia Manuel przyniesie jedzenie i że tym razem powiedzą sobie więcej, zbratanie będzie całkiem łatwe, a oczy najzupełniej szczerze. Bolało go to, że sam nie może dać nic w zamian.

Zaraz, zaraz, chyba nie jest tak źle. Te bardziej odległe wzgórza były obsypane jagodami i nawet o tej porze roku jeszcze trochę pewnie tam zostało. Niemożliwe, żeby wszystko wybierały ptaki, zwierzęta i ludzie, a on przecież umie patrzeć. Tak, może przynieść sporo jagód, które będą świetnym uzupełnieniem posiłku.

Oznaczało to jednak długą wyprawę i nogi buntowały się już na samą myśl o niej. Rugo stęknął i wyruszył, powolutku. Słońce toczyło się już ku horyzontowi, ale do zapadnięcia zmroku było jeszcze kilka godzin.

Rugo pokonał szczyt wzgórza i zszedł po drugiej stronie. Było gorąco i cicho, powietrze dookoła skrzyło się, na nielicznych pozostałych drzewach trzymały się przywiedłe liście. Trawa wypalona słońcem lata szurała chropawo pod nogami, głązy leciały na boki i z cichym stukotem toczyły się po długim zboczu. W oddali pasmo wzgórz przechodziło w siną mgłę. Panowała tu pustka, lecz Rugo przywykł do niej i ją polubił.

Jagody – no tak, całe mnóstwo rosło wokół Wodospadu Grzmotów, gdzie zawsze był chłód oraz wilgoć. Niewątpliwie inni zbieracze wiedzieli o tym miejscu równie dobrze, jak Rugo, ale nie znali wszystkich najmniejszych zakątków, pochyłonych skał, wilgotnych szczelin i kryjówek pod osłoną krzewów. Będzie więc mógł przynieść ze sobą tyle, że starczy na niezły posiłek.

Zszedł zygzakiem po jednym stoku i wspiął się na drugi, gęściej porośnięty drzewami. W zbawczym cieniu ruszył trochę szybciej. Czy nie powinien całkiem stąd się wynieść? Może lepiej by mu się wiodło w okolicach rzadziej zasiedlonych, gdzie mógłby spotkać więcej osób podobnych do Manuela. Ludzie są mu potrzebni, jest zbyt stary, by mieszkać na pustkowiu, a przy granicy codzienne kontakty z mieszkańcami mogą być łatwiejsze.

Taką złą rasą to oni znów nie są, ci Obcy. Wojnę prowadzili z całą zaciekłością, jaka ich przepełniała, a zagrożenie usunęli z niepotrzebnym bestialstwem; nadal niszczą, oszukują i gnębią jedni drugich, są głupi i okrutni, wycinają lasy, rozkopują ziemię, a rzeki pozbawiają wody. Lecz pośród nich znalazło się kilku takich jak Manuel, a Rugo zastanowił się, czy liczba podobnych osobników, którymi jego plemię mogłoby się poszczycić, byłaby większa niż u Obcych.

Niebawem wszedł na stok najwyższego wzgórza w okolicy i zaczął się wspinać w kierunku Wodospadu Grzmotów. Jego uszu dobiegł odległy huk katarakty, na wpół zagłuszony przez

dudniącą krew, gdy mozolnie włókł swe starzejące się cielsko po skalistym zboczu. Stał w rozedrganym świetle słonecznym, by odsapnąć i upewnić się, że niedaleko znajdzie cień, mgiełkę i chłód od wartkiej wody. Później, gdy będzie wracać, zapadnie już noc, by towarzyszyć mu w drodze do domu.

Rycząca kaskada zagłuszyła głosy dzieci, których zresztą Rugo się nie spodziewał, skoro wiedział, że zabroniono im odwiedzać ten niebezpieczny zakątek bez opieki dorosłych. Minął skalisty grzbiet i przystanął, by spojrzeć w dół jaru, a kiedy trochę niżej od siebie ujrzał dzieci, serce załomotało mu aż do bólu.

Była tam cała banda, którą rudowłosy Sam Whately wiódł na poszukiwanie jagód w górę i dół stoków urwistych skał i po kamienistej plaży. Rugo stał na urwisku ponad nimi, ukradkiem wyglądając spoza chłodnej zasłony kropelek wody, i próbował zmusić swe zasapane ciało do odwrotu i ucieczki, nim go zauważą. Niebawem było już za późno, dostrzegli jego ciemne kontury i ruszyli całą gromadą, wspinając się na urwisko przy wtórze złowieszczych wybuchów śmiechu.

Poprzez ryk i huk wodospadu do Rugona ledwo dotarł głos Sama:

– Patrzcie go! Patrzcie, kto tam jest! To stary Czarnuch!

Rugo dostał kamieniem w zębra; zrobił pół obrotu, żeby odejść, ale niejasno czuł, że nie zdoła prześcignąć dzieci. W porę jednak przypomniał sobie, że przyszedł po jagody dla Manuela Jonesa, który nazwał go odważnym, i zaświtała mu pewna myśl.

– Przestańcie! – ryknął basem, który zagrział wśród skał.

– Słuchajcie no, co on mówi, ha, ha, ha!

– Jak mnie nie zostawicie – krzyknął Rugo – to powiem waszym rodzicom, że byliście tutaj.

Wtedy wszyscy przystanęli, tuż koło niego i przez chwilę słychać było tylko ujadanie psów. Po czym Sam rzucił szyderczo:

– Te, kto cię tam będzie słuchał, stary trollu!

– Myślę, że mi uwierzą – odparł Rugo. – Jeśli uważacie inaczej, spróbujcie się przekonać.

Dzieci zawahały się przez chwilę, niepewne, gapiąc się jedne na drugie. Potem Sam zawołał:

– Dobra, stary skarżypyto, dobra. Ale się do nas nie wtrącaj, zgoda?

– Niech tak będzie – rzekł Rugo, a z trudem wstrzymywany oddech wyrwał mu się głębokim westchnieniem. Uświadomił sobie, że serce wali mu aż do bólu, a nogi ma jak z waty.

Naburmuszone dzieci powróciły do zbierania jagód, a Rugo poczłapał w dół urwiska i poszedł w przeciwnym kierunku.

Dzieci przywołały psy i wkrótce nikogo już nie było widać.

Po obu stronach wodospadu ściany wąwozu wznosiły się wysoko i stromo. Tutaj rzeka płynęła wartko, niby zielonobiała kipiela, zimna i hałaśliwa tam, gdzie w welonie tęczowej mgiełki przeskakiwała przez próg. Jej szum wypełniał powietrze, dźwięczał wśród nawisłych

skał i niósł się echem po wydrążonych przez wodę jaskiniach. Ziemia nieustannie drżała od wibracji wywoływanych przez przewalający się strumień. Było tu chłodno i mokro, a w całym wąwozie zawsze igrał wiatr. Wodospad nie był wysoki, miał zaledwie pięć metrów, lecz rzeka waliła w dół z gniewnym impetem, a poniżej katarakty było głęboko; prąd rwał szybko, mnóstwo było skał i wirów.

Cała roślinność – krzaczki i kilka smukłych drzew – rozproszyła się pomiędzy głazami. Rugo znalazł parę dużych liści tsuga, skrzył je razem robiąc sporych rozmiarów torbę, tak jak nauczyła go matka, i zaczął zbieranie. Jagody rosły na niskich, okrągłolistnych krzaczkach, które wyrastały kępami spod skał i wyższych roślin, wszędzie tam, gdzie mogły znaleźć schronienie. Znalazienie ich było dość trudną sztuką, ale Rugo miał za sobą wiele dziesiątek lat praktyki.

Zajęcie było kojące. Rugo czuł, jak przycichają płuca i serce, jak spływa na niego zadowolenie i uspokojenie. Tak samo chodził z matką, bardzo często w okresie, który widzi wyraźniej niż wszystkie pozostałe, zlewające się w jedno lata. Czuł się tak, jakby matka szła teraz obok niego, pokazywała, gdzie szukać, i uśmiechała się, gdy przeginał krzak i znajdował niebieskie kuleczki. Rugo zbierał jedzenie dla przyjaciela i to właśnie było dobre.

Po pewnym czasie dotarło do jego świadomości, że dwoje dzieci, chłopczyk i dziewczynka, opuściło całą grupę i idzie za nim, zachowując dyskretną odległość i milczenie. Rugo odwrócił się i wlepił w nie wzrok zastanawiając się, czy mimo wszystko chcą go zaatakować, a one zakłopotane spojrzały w bok.

W końcu chłopiec odezwał się nieśmiało:

– Nazbierał pan bardzo dużo jagód, panie trollu.

– Rosną przecież tutaj – mruknął Rugo niepewnie.

– Przepraszam, że dzieci były dla pana takie niedobre – powiedziała dziewczynka. – Nas tam nie było; my byśmy na to nie pozwolili.

Rugo nie mógł sobie przypomnieć, czy rano tych dwoje było z całą zgrają. Nieważne. Zachowują się grzecznie tylko dlatego, że mają nadzieję, iż pokaże im, gdzie rosną jagody.

A przecież dawniej nawet sporo dzieci Obcych darzyło go sympatią, głównie te, które były za duże, żeby wrzeszczeć z przerażenia na jego widok, albo za małe, żeby przejąć od innych uprzedzenie do niego. On ze swej strony też je lubił. Tych dwoje, niezależnie od pobudek, odzywało się grzecznie.

– Mój tata powiedział niedawno, że może będzie miał dla pana pracę – powiedział chłopiec.

– Dobrze panu zapłaci.

– Kto jest twoim ojcem? – spytał Rugo bez entuzjazmu.

– To pan Jack Stackman.

No tak, Stackman był zawsze wyjątkowo miły, choć ze skrepowaniem i nieudolnie, jak zwykle ludzie. Niektórych gnębiło poczucie winy za wszystko, co zrobili ich pradziadowie,

jakby można było cokolwiek zmienić. Dobre jednak i to. Ludzie w większości byli dość przyzwoiici; ich główna przywara polegała na tym, że wtedy, gdy ich pobratymcy szerzą zło, oni się nie wtrącają, stoją z boku, w milczeniu, ogarnięci zakłopotaniem.

– Pan Whately nie da mi tam dojść – stwierdził Rugo.

– Och, ten. Mój tata zajmie się tym mąciwodą Whately – rzucił chłopiec z wyszukaną pogardą.

– A ja nie lubię Sama Whately – wtrąciła dziewczynka. – Jest tak samo podły jak jego stary.

– No więc dlaczego robicie wszystko, co wam każe?

Chłopcu zrobiło się głupio.

– Jest większy od nas wszystkich – mruknął. Tak, ludzie postępują akurat w ten sposób i właściwie nie można ich winić za to, że tacy jak Manuel Jones są wśród nich rzadkością.

– Tu jest dorodny krzak jagód – rzekł Rugo. – Możecie zrywać, jeśli chcecie.

On sam usiadł na omszałym brzegu, przyglądał się, jak dzieci zajadają, i pomyślał, że tego dnia chyba dużo uległo zmianie. Może mimo wszystko nie będzie musiał się stąd wynosić.

Dziewczynka podeszła i usiadła obok niego.

– Czy może mi pan opowiedzieć bajkę, panie trollu? – zagadnęła.

– Co? – mruknął Rugo, niespodziewanie wyrwany z zadumy.

– Mój tatuś mówi, że ktoś tak stary jak pan musi dużo wiedzieć – dodała.

Czemu nie, pomyślał Rugo, rzeczywiście dużo wie, ale nie są to takie opowieści, które można przekazać dzieciom. One nie wiedzą, co to głód, osamotnienie, zimowy chłód przeszywający dreszczem, słabość i ból oraz powolne wykruszanie się nadziei, a on przecież wcale nie chce, żeby to kiedykolwiek poznały. No, ale przecież oprócz tego pamięta coś jeszcze. Ojciec opowiadał mu baśnie o tym, co bywało dawniej.

„Duch waszej rasy zawsze będzie nas nawiedzać i niezależnie od tego, jak długo człowiek tu zostanie, coś z was weń przeniknie. Zawsze tuż za ogniskiem będzie jakiś cień, jakiś głos w wietrze i rzekach, a w glebie coś, co przeniknie do chleba, który człowiek zje, i do wody, którą wypije. Tym czymś będzie umarła rasa, która była twoją”.

– Czemu nie – rzekł powoli. – Zgoda.

Chłopiec też podeszedł i usiadł obok dziewczynki. Oboje wlepili w Rugona wielkie oczy, a on wsparł się grzbietem o brzeg i zaczął szukać w pamięci.

– Dawno, dawno temu, zanim na Nową Ziemię przybyli ludzie, żyły tu trolle podobne do mnie. Budowaliśmy domy i gospodarstwa, mieliśmy własne pieśni i własne legendy, tak jak i wy. Mogę więc o tym trochę opowiedzieć, a może kiedyś, gdy dorośnecie i będziecie mieć własne dzieci, zdołacie im to przekazać.

– No pewnie – wtrącił chłopiec.

– Otóż – ciągnął Rugo – był sobie kiedyś król trolli zwany Utorri, który żył w Zachodnich

Dolinach, prawie nad samym morzem. Mieszkał w olbrzymim zamku o wieżach wznoszących się tak wysoko, że nieomal dotykały gwiazd, a wokół wież bezustannie hulał wiatr i podzwaniał dzwonami. Nawet we śnie trolle słyszały drzenie dzwonów. Zamek miał nieprzebrane bogactwa, jego podwoje stały otworem dla wędrowców i co wieczór odbywały się uczty, na których spotykały się wszystkie olbrzymie trolle, płynęła muzyka, a herosi opowiadali o swych wyprawach...

– Hej, patrzcie!

Dzieci odwróciły głowy, a Rugo powiódł wokoło rozdrażnionym wzrokiem. Słońce stało teraz nisko, jego promienie były długie i ukośne i włosom Sama Whately’ego, tak jak stał, przydawały ognistego blasku. Urwis wszedł na najwyższą skałę nad wodospadem i roześmiany balansował na wąskim występie. W wieczornym powietrzu, ponad dudnieniem wód, jego śmiech niósł się czysty, choć słaby.

– Ojej, tak nie można – powiedziała dziewczynka.

– Jestem królem gór.

– Głupi malec – mruknął Rugo.

– Jestem królem gór!

– Sam, schodź – dziecinny głosik prawie zaginął w grzmocie wodospadu.

Sam Whately roześmiał się jeszcze raz i szukając drogi powrotnej, zaczął macać rękoma po szorstkim kamieniu. Rugo zmartwiał, gdy uprzytomnił sobie, jakie śliskie są skały i jak żarłoczna jest rzeka.

Chłopak zaczął schodzić, stracił równowagę i runął w dół.

Przez moment Rugo dojrzał rudą głowę, gdy wznosiła się ponad spienioną zieleń. Potem, kiedy rzeka wessała ją w głąb, głowa zniknęła niczym zdmuchnięta pochodnia.

Z okrzykiem Rugo porwał się na nogi, pomny, że nawet teraz ma siłę wielu ludzi i że jeden człowiek nazwał go odważnym. W głębi świadomości coś mu podszeptywało, by zaczekał, stanął i się zastanowił, ale on pognął na brzeg opętany myślą, że jeśli rozsądnie rozpatrzy sprawę, to nie zrobi nic.

Woda, która go otoczyła, była tak zimna, że przeszła całe ciało szpilami chłodu i Rugo aż zawył z bólu.

Głowa Sama, kołując wraz z prądem, pojawiła się na sekundę u podnóża wodospadu. Rugo nie sięgał już dna, więc zaczął płynąć czując, jak prąd go poniósł i oderwał od brzegu.

Popłynął mocując się z prądem, otrząsnął wodę zalewającą oczy, nabrał powietrza i rozgrzawkowanym wzrokiem omiół wodę. Trochę dalej unosił się Sam, płynąc bezwolnie, nieświadomie.

Drobne ciało chłopca uderzyło Rugona w bark. Niewiele brakowało, aby rzeka wzięła górę, jednak Rugo dosięgnął ręki Sama i płynął sterując ogonem, wolną ręką i nogami.

Wirowali obaj, znoszeni prądem strumienia, aż Rugo ogłuchł i oślepl, a siły upływały z niego jak krew z otwartej rany.

Przed nimi wyrosła skała, którą Rugo dojrzał niewyraźnie w bezlitosnym blasku słońca. Był to szeroki, płaski głaz wznoszący się ponad spienioną kipieli. Rugo rzucił się w tym kierunku, prul wodę na oślepl, ze świstem wciągał powietrze w puste płuca, a gdy wpadł na skałę, wstrząs rozsadził mu wszystkie kości.

Rozpaczliwie uchwycił się gładkiej powierzchni, po omacku szukając punktu zaczepienia. Jednym ramieniem uniósł ledwo żywe ciało Sama Whately'ego i z wysiłkiem cisnął je na skałę, po czym rzeka znów go porwała.

W ostatnim przeblysku świadomości, nim ciemność ogarnęła mózg, Rugo pomyślał, że chłopiec nie opił się za dużo wody i będzie mógł leżeć na skale do czasu, gdy latająca stal zabierze go do wioski. „Tylko dlaczego ja go uratowałem? Po co go ocalałem? To on obrzucał mnie kamieniami, a teraz już nigdy nie będę mógł dać Manuelowi jagód. Nigdy nie dokończę opowieści o królu Utorri i jego herosach.”

Gdy Rugo tonął, otaczająca go woda była chłodna i zielona, a on zastanawiał się, czy matka po niego przyjdzie.

Kilka kilometrów dalej rzeka cicho przepływa szerokim korytem między łagodnymi brzegami. Rosną tam drzewa, a ostatnie promienie słońca prześwitują przez listowie i lśnią na powierzchni wody. Tak jest w dolinie, gdzie pobudowano ludzkie siedziby.